

1

Panie Jacku! Mam pierogi dla pana od matuli. Ruskie z cebulką. Pan zejdzie, bo jeszcze ciepłe, nie trza będzie odgrzewać! – krzyknął na podwórku Walduś. Pilnując bramy, nie mógł wejść na górę do mieszkania Jacka.

Od pewnego czasu właśnie w ten sposób matka Waldusia odwdzięczała się Jackowi za pomoc. Jej syn był nazywany przez wszystkich Waldusiem ze względu na podobieństwo do syna bohatera serialu „Kiepsczy”. A działał jako czujka w bramie prowadzącej do kamienicy, w której na warszawskiej Pradze mieszkał detektyw Jacek Kowalik.

Jacek nie mógł więc odmówić, chociaż wiedział, że pierożki, same w sobie pyszne, nie najlepiej wpływały na jego obwód w pasie. Jako były policyjny antyterrorysta zawsze dbał o sylwetkę, chociaż spowalniająca z wiekiem przemiana materii zaczynała robić swoje.

Uważał, że to, co kilka miesięcy temu zrobił dla tej kobiety, nie było niczym specjalnym. Za pomocą kilku pism pomógł jej po prostu wypłatać się z płacenia kredytu, który

na jej dane personalne, bez jej wiedzy zaciągnęła córka. No, może tylko dla niego była to niewielka sprawa. Dla starszej kobiety spłacanie pięćdziesięciu tysięcy złotych z niewielkiej emerytury brzmiało jak wyrok dożywotniego niedostatku. Jacek, który ją przed tym wybronił, został uznany za cudotwórcę, któremu należy się odwdziaczyć, więc kobiecina odwdzięczała się, jak potrafiła.

Kiedy Jacek zszedł na dół i zbliżył się do bramy, Walduś – podając mu siatkę z pojemnikiem – poinformował:

– Za godzinę przyjedzie tu taki jeden, co chce się z panem widzieć. Był tu człowiek od niego. Będzie pan w domu? Wie pan, ten gościu to z tych, co każą sobie przywieźć człowieka, jak chcą coś od niego. Jak sam przyjeżdża, to jakąś grubszą rzecz ma do pana. No i musi pana szanować.

– Kto to?

– Koniu, znaczy się Konikiewicz... Maciej. Zna pan?

– Jasne. Tylko coś o nim ostatnio było cicho. Myślałem, że siedzi.

– Nie, nie siedzi. Wyczuł okazję, że inni siedzą w pudle, i teraz to on jest największy kozak... przynajmniej po tej stronie Wisły. Pan będzie w domu, bo jakby przyjechał na próżno, to do mnie będą mieli pretensje.

– Będę, będę. Krzyknij, to zejdę do niego... A... i mamie powiedz, żeby nie robiła już tych pierogów. Staruszka się napracuje, a to całkiem niepotrzebne.

Walduś zaśmiał się i machnął z rezygnacją ręką.

– Pan próbuje mojej matce coś przetłumaczyć... Ja nawet nie będę próbował. Bo po prawdzie należą się panu.

– No to jej podziękuj – oświadczył Kowalik i poszedł do mieszkania.

Nie minęła godzina, gdy z powrotem stał na podwórku i rozmawiał z Maciejem Konikiewiczem pseudo Koniem. Nie krył zdumienia, gdy ten znany z brutalności recydywista błagalnym tonem wyjawiał mu sprawę. Gangster ostrzyżony na łyso był sporo niższy od Jacka, lecz dwa razy szerszy w ramionach i bicepsach. Patrzył na Jacka proszącym wzrokiem i mówił nosowo, bo nos miał boksinerski, czyli wielokrotnie połamany.

– Tak jak powiedziałem, córka mi zaginęła i kurwa, nie mogę jej znaleźć. Dziewiętnastolatka. Rozumiesz? Już trzy tygodnie. Na łbie stawałem i nic. – Drżący głos kompletnie nie pasował do tego potężnego mężczyzny, ale emocje widocznie nie omijają nikogo.

Koniem chwilę odczekał, próbując opanować wzruszenie, i już spokojniejszym głosem poprosił:

– Nie odmawiaj. Mówią, że jesteś w poszukiwaniach najlepszy. Pojedźmy pogadać do jakiejś knajpy. Czekać tu w pobliżu jest Bar Praski. Zjemy coś prawdziwego, co się normalnie nazywa, i spokojnie pogadamy.

Jacek, powoli osuwając się z sytuacją, odpowiedział ostrożnie:

– Musiałbym najpierw sprawdzić, co się wokół ciebie dzieje. Nie mam ochoty wdepnąć w jakąś wojnę. Niedawno się w coś takiego władowałem i nie zamierzam znowu. A jak mam znaleźć twoją córkę, to musiałbym wiele rzeczy sprawdzić i o wielu sprawach się dowiedzieć, a nie wiem,

czy będziesz chciał mówić. Bo bez tego możesz iść do jasnowidza albo wróżki. Ja ci nie pomogę.

Jego rozmówca niecierpliwie kiwał głową.

– Gdyby to były zwykłe bandyckie porachunki, to bym ci przecież głowy nie zawracał! Sam bym sobie poradził. Ale ona zniknęła naprawdę, a ja nie mam żadnych informacji! Nie wiem, jak zniknęła, nie wiem dlaczego. Co mogłem i jak umiałem, już sprawdziłem. I nic! Tu trzeba fachowca. No, chodźmy do baru. Wszystko ci powiem, nie mam wyjścia.

Jacek wrócił na chwilę do siebie po jakiś notes. O zgodę na dyktafon wolał nawet nie pytać, a nie zaryzykowałby nagrywania z ukrycia. Gdyby się wydało, byłoby naprawdę słabo. Szybko przypiął do paska kaburę z pistoletem i włożył kurtkę. Wrześniowe ciepłe dni powoli się kończyły i czarna skórzana kurtka nikogo nie dziwiła. Nosząc broń latem, musiał ukrywać ją pod wypuszczoną ze spodni koszulą, czego bardzo nie lubił.

Koniu stał już w bramie i dopiero teraz Jacek zauważył, że towarzyszyło mu dwóch ludzi. Obstawa bandyty też była ubrana w podobne, czarne kurtki. Rozmawiali z Waldusiem, a Jacek zanotował w pamięci, że musi zapytać Konikiewicza, dlaczego jeździ z obstawą. Przecież Warszawa to nie Bronx, przynajmniej na razie.

Ruszyli w kierunku Szynku Praskiego, bo tak naprawdę nazywała się ta restauracja, chociaż wszyscy mówili o niej „knajpa praska” albo po prostu „bar”. Ku zdumieniu Jacka, obstawa szła z tyłu. Jeszcze bardziej go rozbawili, kiedy nie weszli do baru przed nimi, żeby sprawdzić sytuację.

Jacek i Koniu weszli do środka sami, a goryle zostali na ulicy. Pajace.

Obsługa Szynku nie знаła Jacka; był tu zaledwie ze dwa razy. Zapamiętał wtedy, że podobał mu się wystrój z motywami historii warszawskiej Pragi i tradycyjne menu: różne kotlety, placki czy golonka.

Okazało się za to, że Koniu jest tu znaną postacią, bo natychmiast znalazł się dla nich stolik w ustronnym miejscu. A może tylko kelner tak zareagował na widok potężnie zbudowanego faceta z tatuażami wypełzającymi spod kołnierzyka różowej koszuli Hugo Bossa? Jacek nie miał pewności, dopóki kelner, przynosząc karty, nie zwrócił się do Konia: „Panie Macieju”, i wtedy wszystko stało się jasne. Zamówili tylko po tradycyjnym tatarze, bo Jacek był objedzony pierogami, a Koniu twierdził, że nie ma apetytu. W takiej warszawskiej restauracji nic innego zamówić nie wypadało.

Konikiewicz zaczął opowiadać bez zbędnych ceregieli. Wyglądało to tak, jakby bardzo potrzebował się przed kimś wygadać.

– Wiesz, córka wyjechała w Bieszczady na jakiś protest. Powiedziała mi, że chodzi o stary las. Miała odpały w tym kierunku, chciała bronić świat przed zagładą klimatyczną i takie tam. Machałem na to ręką. Młodziaki mają swoje odjazdy, to normalne... Jeździła zresztą już wcześniej na różne protesty. Wiedziałem tylko, że wybiera się w Bieszczady, a jak kontakt się z nią urwał, uświadomiłem sobie, że nawet nie wiem, gdzie jej szukać. Dopiero, kiedy kupiłem logowania jej telefonu, dowiedziałem się, że pojechała do Birczy.

– Sama pojechała? Miała jakąś koleżankę? – wtrącił Jacek, notując szybko.

– Sama, sprawdzałem. Kupiłem logi – kurwa, trudno było to załatwić. Teraz pilnują takich rzeczy. Okazało się, że jechała pociągiem do Rzeszowa, a potem chyba autobusem, bo inaczej się nie dało. Jej telefon zniknął po pierwszym dniu w Birczy. Ale to też nie jest pewne, bo to blisko Ukrainy, a tam teraz wojna, zagłuszanie i różne inne wariactwa. Mówię ci: ja i moi ludzie nieźle uszarpaliśmy się przez te trzy tygodnie i nic! Chłopaki byli parę razy w Birczy i niczego się nie dowiedzieli. Właściciela hoteliku tak wytrzęśli, że im zemdłał dwa razy. Nic nie wiedział. Nie miała rezerwacji, tylko zadzwoniła wieczorem, że chce pokój. Zapłaciła, przenocowała i rano wyjechała. Twierdził, że była sama. Warszawę też przeczesaliśmy po wszystkich koleżankach. Na próżno. Chłopaka teraz nie miała.

Przerwał na chwilę, bo pojawił się kelner z zamówieniem. Tatara z ogórkiem, cebulką i surowym jajkiem przygotowano tradycyjnie, bo wcześniej dochodziły odgłosy siekania, a nie mielenia mięsa. Kelner po chwili pojawił się ponownie z butelką czystej wódki i kieliszkami.

– To od szefa – oznajmił.

– Masz ochotę? – zapytał Konikiewicz, a kiedy Jacek pokręcił przecząco głową, zwrócił się do kelnera: – Bez obrazy, ale nie dzisiaj.

Kelner kiwnął głową ze zrozumieniem i zniknął z tacą na zapleczu.

– Złożyłem na policji zawiadomienie o zaginięciu – kontynuował Koniu. – Zarejestrowali i tyle. Opowiedziałem

im, że pojechała w Bieszczady na jakiś protest i że tam trzeba jej szukać, bo może tam ją dorwały te dzikusy. Przecież tam pełno dzikich ludzi. No to mi powiedzieli, że nie ma żadnych dowodów i że będą szukać standardowo. Nie mogłem im powiedzieć o tych logach z telefonu, bo wiadomo... kupiłem na lewo. A jak nalegałem, żeby opublikowali komunikat, to powiedzieli, że to jest delikatna sprawa, że bez dowodów nie mogą napisać o zaginięciu ekolożki na proteście, bo z tego może się zrobić awantura na całą Polskę. Będą robić swoje, a ja mam czekać na informacje. Generalnie mnie olali. Pewnie się gnoje cieszyli, że mnie to spotkało. Przecież mnie znają... zaraz zaczęli sugerować, że to pewnie moi wrogowie czy coś...

– Mnie to też od razu przyszło do głowy. Może ktoś z zemsty porwał ci córkę, masz przecież wrogów?

– Gdzie tam – zaprotestował gwałtownie Konikiewicz.
– To nie te czasy! Zresztą już by się tym pochwalili, chcieliby pieniędzy czy coś. Z wrogów to jeden Mrówa mógłby mi coś takiego wywinąć, ale sam ma podobny problem. Jego syn zniknął w sierpniu. Też go szukał, ale nie wiem, czy znalazł. Nieee, teraz nikt już czegoś takiego nie zrobi. W ogóle po tej rozpierduście z Małym Waldkiem... Słyszałeś pewnie?

Jacek skinął głową. Pewnie, że znał głośną historię sprzed paru lat, kiedy bandyta o pseudonimie Środek porwał syna innego bandyty, Małego Waldka. Ten w rewanżu porwał jego żonę i matkę. Syna wymienił za żonę, a za matkę Środek musiał bardzo słono zapłacić. Poza tym Mały Waldek postrzelił go w biodro. Po takich zdarzeniach ludzie raczej

niechętnie sięgają po kłopotliwe metody. Zdawał sobie jednak sprawę, że w bandyckich porachunkach niczego wykluczyć nie można.

– A czym ty się teraz zajmujesz? – zapytał, uznając, że przyszła pora na to pytanie.

Wiedział, że jego rozmówca wyroki odsiadywał z reguły za napady i strzelaniny, ale również za jakieś porwanie dla okupu. Listę wyroków miał imponującą.

Konikiewicz spojrział na Jacka z uwagą.

– Chłopaki mówią, że jesteś teraz w porządku, to ci powiem. Zresztą i tak pewnie muszę. Ogólnie mówiąc, handluję nieruchomościami. Kupuję na licytacjach komorniczych takie nieruchomości, których wszyscy boją się kupić. Jakieś hotele, knajpy, które były w rękach bandytów czy różnych wariatów. Remontuję je, uaktywniam i po jakimś czasie sprzedaję albo zostawiam sobie, jeśli biznes dobrze idzie. W kraju już mnie komornicy znają i odzywają się, jak mają coś takiego na sprzedaż. Owszem, czasem bywa ostro, ale mam dobrych chłopaków, którzy obstawiają taki zakup i pilnują, aż wszystko się uspokoi. A uspokaja się szybko, kiedy ludzie dowiadują się, kto to kupił. Na przykład w zeszłym tygodniu kupiłem od komornika za bezcen nowiotkiego TIR-a, bo ludzie bali się go kupić, i słusznie. A ja natychmiast sprzedałem go za podwójną cenę temu samemu, od którego komornik go zabrał. Facet nie chciał stracić opinii i odkupił go na podstawioną osobę. Tylko po to, żeby postawić TIR-a na placu od strony ulicy, żeby wszyscy widzieli, że nie dał sobie zabrać samochodu. Mnie to nic nie obchodzi, zarobiłem kupę kasy na tym idiocie. Przecież

mógł wziąć takiego samego w leasing i postawić go sobie na placu. Nikt by się nie połapał! – roześmiał się Koniu.

– No tak, ale dzięki temu mamy teraz całą masę wkurzonych, którzy mogą chcieć się odegrać – zauważył Jacek.

– Myślisz? – Koniu natychmiast spowaźniał.

– No pewnie. Mogło to komuś mocno pojechać po ambicji, więc się odegrał. Nie chcę cię straszyć, ale źle to widzę. Cholera, naprawdę źle...

Koniu przez chwilę się zastanawiał, nerwowo zjadł trochę tatara i w końcu powiedział:

– To zabierz się do poszukiwania mojej córki. Ja przecież nie odpuszczę, będę wysyłał ludzi, a oni zleją jakieś niewinne osoby, i na co to wszystko? Umęcę się i ja, i moi ludzie. Jak ją znajdziesz, to się dowiem, kto za tym stał. A jeśli nie żyje, znajdź ciało i tych, co to zrobili. Zostawię ci wolną rękę. Możesz wtedy zgłosić policji albo powiedzieć tylko mnie. Tak czy siak będzie po nich, bo w kryminalu też ich dopadnę. Ale muszę mieć pewność, co się z nią stało. Proszę cię, pomóż mi... kurwa, ja rzadko kogoś proszę... nie umiem...

Zaskoczony Kowalik zobaczył, że Konikiewicz aż poczerwieniał z emocji i ręce zaczęły mu drżeć. Chyba rzeczywiście nie zwykł kogoś o coś prosić...

Trochę odruchowo Jacek postanowił się zgodzić i natychmiast nabrał przekonania, że będzie tego odruchu żałował. Poszukiwanie zaginionej córki gangstera... Czy istnieje głupszy sposób na zarabianie pieniędzy?

– Dobrze – powiedział w końcu. – Tylko muszę coś jeszcze sprawdzić. Jutro dam ci odpowiedź.

Konikiewicz się ożywił.

– Już dzisiaj przeleję ci pięćdziesiąt tysięcy. Jak ją znajdziesz, są twoje. Żebyś nie myślał, że cię potem oszukam. Jak niczego nie znajdziesz, oddasz połowę.

– Przelejesz mi siedemdziesiąt pięć. Jak ją znajdę, są moje. Jak nie znajdę, oddam ci dwie trzecie. Wyjdiesz na to samo, a sprawa jest trudna. Potrzebuję kasy na wyjazd, będę musiał kupować informacje. Będą duże koszty, bo na obcym terenie nie jest łatwo działać. No i mogę trafić na niebezpiecznych ludzi.

– Mówiłem ci, że nie...

– Ale pewności nie masz. Nie wiadomo, co wyjdzie.

– No tak. W takim razie dam ci ochronę z moich chłopaków, jak będzie trzeba.

– Wiem, że dałbyś. Ale po co mi taka awantura? Są spokojniejsze sposoby na zarabianie pieniędzy. Więc jeśli mam łeb nadstawiać, to niech wiem, za co.

– Dobra! Przecież o córkę nie będę się targował.

Jacek podał mu numer konta do przelewu, dokończył pysznego tatara i zaczął się zbierać do wyjścia. Coś mu się jednak przypomniało.

– Jeśli nic złego się wokół ciebie nie dzieje, to czemu jeździsz z obstawą?

– Z czystej fantazji – uśmiechnął się Koni. – Jak ludzie widzą obstawę, to zaraz inaczej się rozmawia. Bardziej cię szanują. Kupa chłopaków dla mnie pracuje, a ci dwaj akurat nie mają co robić. No to jeżdżą ze mną. A co, pomyślałeś, że ktoś się na mnie szykuje? Nie, nic takiego się nie dzieje. Ci dwaj są tutaj dla wygody. O, na przykład teraz:

pojdzie któryś po samochód, podjedzie i sam nie muszę się fatygować.

I rzeczywiście, wystarczył krótki sms, a biały Mercedes AMG już podjechał pod restaurację.

Jacek jednak był daleki od tego, żeby uwierzyć w legendę o ochronie dla czystej wygody. Nie miał wątpliwości, że jego rozmówca stale ma się czego obawiać. Zwłaszcza gdy skupuje tak problematyczne nieruchomości...

Przy wyjściu odnotował jeszcze z szacunkiem, że Koniu wręczył kelnerowi dwustużłotowy banknot. Konikiewicz nie robił z siebie gburowatego prostaka. Chciał wyjść na bandziora z klasą.

Umówili się na kontakt następnego dnia. Koniu odjechał ze swoją obstawą, a Jacek poszedł w kierunku domu. W bramie zaczepił go Walduś.

– I jak poszło, panie Jacku? Wszystko w porządku?

– Myślę, że się dogadaliśmy – odparł powściągliwie Jacek.

– Bo wie pan. On mnie tak podpytywał, czy pan jest, no... w porządku. Bo w końcu był pan policjantem, więc tego, no... Chciał wiedzieć, czy będzie pan trzymał język za zębami, jak się pan o czymś lewym dowie.

– I co mu odpowiedziałeś?

– Że jak najbardziej! Że pan na naszym podwórku widział takie rzeczy, że ho, ho! I nic się nigdy nie wydało! A co! Niech se Koniu nie myśli, że tu jakieś frajerstwo mieszka... Dobrze mu powiedziałem?

– No pewnie – pochwalił Jacek. – Dzięki.

Wchodząc po schodach na piętro, pomyślał, że od czasu, gdy zamieszkał w tym miejscu, rzeczywiście przeszedł sporą

przemianę. Widywał transporty lewych papierosów, podrabianego alkoholu, wiedział o hurtowych dostawach narkotyków i o handlu towarami z okradzionych tirów. I nic z tym nie robił. Co więcej, żył w jak największej zgodzie z sąsiadami zajmującymi się tym procederem. Wiedział, że jak świat światem, takich ludzi jest mnóstwo, a jemu nikt już za zwalczanie przestępczości nie płaci. Oni robili swoje, a on swoje. Jacek Kowalik, były nadkomisarz policji, musiał przyznać, że jego sąsiedzi mieli więcej honoru i uczciwości niż wielu ludzi pracujących w korporacjach albo służących w policji.

Uczciwości, która nie ma wiele wspólnego z przepisami kodeksowymi, ale jednak jest wartością.